

KOCHAM teatr

Teatr dla misiów

ROMAN PAWŁOWSKI



Wśród opinii o „Burzy” w reżyserii Jarosława Kiliana pojawił się – na łamach „Życia Warszawy” – zarzut, że Kilian zrobił

„Burzę” nie taką, jaką zrobili Warlikowski i Grzegorzewski. Że nie poszedł i nie sprawdził, jak koledzy sobie z tematem poradzili, w związku z czym jego przedstawienie to krok w tył. Uważam ten rodzaj przywalania dyrektorowi Teatru Polskiego za absurdalny i niesprawiedliwy, bo to jest tak, jakby do ryby mieć pretensje, że nie umie biegać. Jarosław Kilian robi od lat swój teatr, którego istotę wyraził lapidarnie w jednym z wywiadów: „To jest największa maestria, żeby trafić do wyobraźni misia o bardzo małym rozumku i niedźwiedzia o wielkim umyśle”. Według tej recepty powstały m.in. „Sen nocy letniej” i „Don Juan”, czyli zabawne i przyjemne przedstawienia dla misiów małych i dużych. Żądać od Kiliana głębin znaczeń i otchłani namiętności może tylko ktoś, kto nie rozumie istoty tej maestrii.

Przed „Burzą” Kiliana należy postawić zupełnie inne pytanie, a mianowicie: czy to jest dobra zabawa? Czy spektakl sprawdza się jako popularny teatr dla każdego? Moim zdaniem nie, i tu jest cały problem. Dobra zabawa w teatrze polega dzisiaj przede wszystkim na umowności i konwencji – wie o tym każdy, kto chociaż raz zobaczył na scenie księżyc z papieru. Tym teatr różni się od kina, telewizji, internetu i gry komputerowej, że uruchamia wyobraźnię. „Burza” do takiej zabawy teatralnością bardzo dobrze się nadaje, bo to jest sztuka o teatrze, w której sceną jest wyspa, aktorami rozbitkowie, a reżyserem Prospero, mag, bibliofil i zesłaniec. Kilian zdawał sobie z tego sprawę, skoro przed premierą obiecywał uwieść widzów „magią teatralnej maszyneryi”. Były to jednak obietnice bez pokrycia. Co prawda na początku przedstawienia odgłos wiatru robiła staroświecka wiatrownica, a morze było zrobione z płótna, ale chwilę później włączono projektor i już do końca spektaklu zamiast „magii teatralnej maszyneryi” oglądaliśmy film przyrodniczy z cyklu „Cuda i dziwy podwodnych głębin”. Widoki fal i zachodzącego słońca zabiły nie tylko poezję Szekspira, ale i scenografię Adama Kiliana zbudowaną z połamanych huraganem pni. Świetna metafora złamanego życia przegrała w konfrontacji z kinem Bałtyk.

Takich niewykorzystanych możliwości w spektaklu jest więcej. Jeden z rozbitków nosi kostium zanniego, błazna z włoskiej commedi dell'arte z charakterystyczną wysoką czapką i ptasią maską ze skóry. Świetny pomysł, w końcu Trynkulo pochodzi z Neapolu! Cóż z tego, skoro grający tę rolę aktor nie ma pojęcia o komedii improwizowanej, nie potrafi zrobić ani jednego gagu czy gestu poza kilkoma niezdarnymi krokami! Następny przykład: jawajski teatr cieni, który na rozkaz Prospera pokazywany jest młodym kochankom. Ciekawa forma, sprytny sposób na przedstawienie umownej erotyki, ale wykonanie fatalne. Lalki są prowadzone topornie, potem zresztą aktorzy je rzucają i sami podrygują na ekranie, co wygląda żałośnie. Już lepiej było tych jawajek w ogóle nie wyciągać.

Na każdym kroku natrafiamy w tym przedstawieniu na dobre intuicje utopione w bezmyślnej formie, jak na przykład sprawa potraktowania Ariela i Kalibana jako więźniów Prospera. Trafne spostrzeżenie, co z tego, skoro jego efektem na scenie są więzienne pasia-ki. Brakuje tylko kuli u nogi, żeby wyspę Prospera zmienić w Sing-Sing. I tak dalej. To przedstawienie nie trafia do wyobraźni, tylko ją zastępuje, nie bawi, tylko męczy złym wykonaniem. Kiedy w finale Prospero, czyli Olgierd Łukaszewicz, prosi, aby publika uwolniła go brawami, klaszczą najgłośniejsze. Niech go w końcu puszczą do domu, wystarczająco się już wszyscy namęczyliśmy.